pobrano z chomikuj.pl/franek998

# PRZEKRÓJ

NR 12 ◆ 1—7 LIPCA 1945 ◆ CENA 5 ZŁ

© Andrzej Kostrzewski

CZYTELNIK

PRACUJMY WYDAJNIEJ!

# PRZEKRÓJ tygodnia

Fot. Wytwórnia Filmowa W. P.

Nowi oficerowie w wolnej Polsce. Generał Kiniewicz winszuje promocji na oficera podchorążemu, absolwentowi szkoły oficerskiej w Andrzejowie pod Łodzią

Prezydent Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut, delegaci Rządu Tymczasowego, oraz przedstawiciele ugrupowań demokratycznych z kraju i zagranicy po osiągnięciu całkowitego porozumienia w sprawie utworzenia Rządu Jedności Narodowej przybyli z Moskwy do Warszawy. Na zdjęciach prezydent Bierut w otoczeniu dostojników państwowych na lotnisku Okęcie przed odlotem na konferencję moskiewską

## Po krwawym trudzie — tryumfalny powrót

II-ga Armia Polska, która bohatersko odznaczyła się w walkach nad Nisą, powróciła z frontu. Wjazd artylerii do Rzeszowa

Droga powrotna usłana kwiatami. Serdeczne powitanie oficerów i żołnierzy II-ej armii przez ludność Rzeszowa

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

# Pierwsze Święto Morza w Odrodzonej Polsce

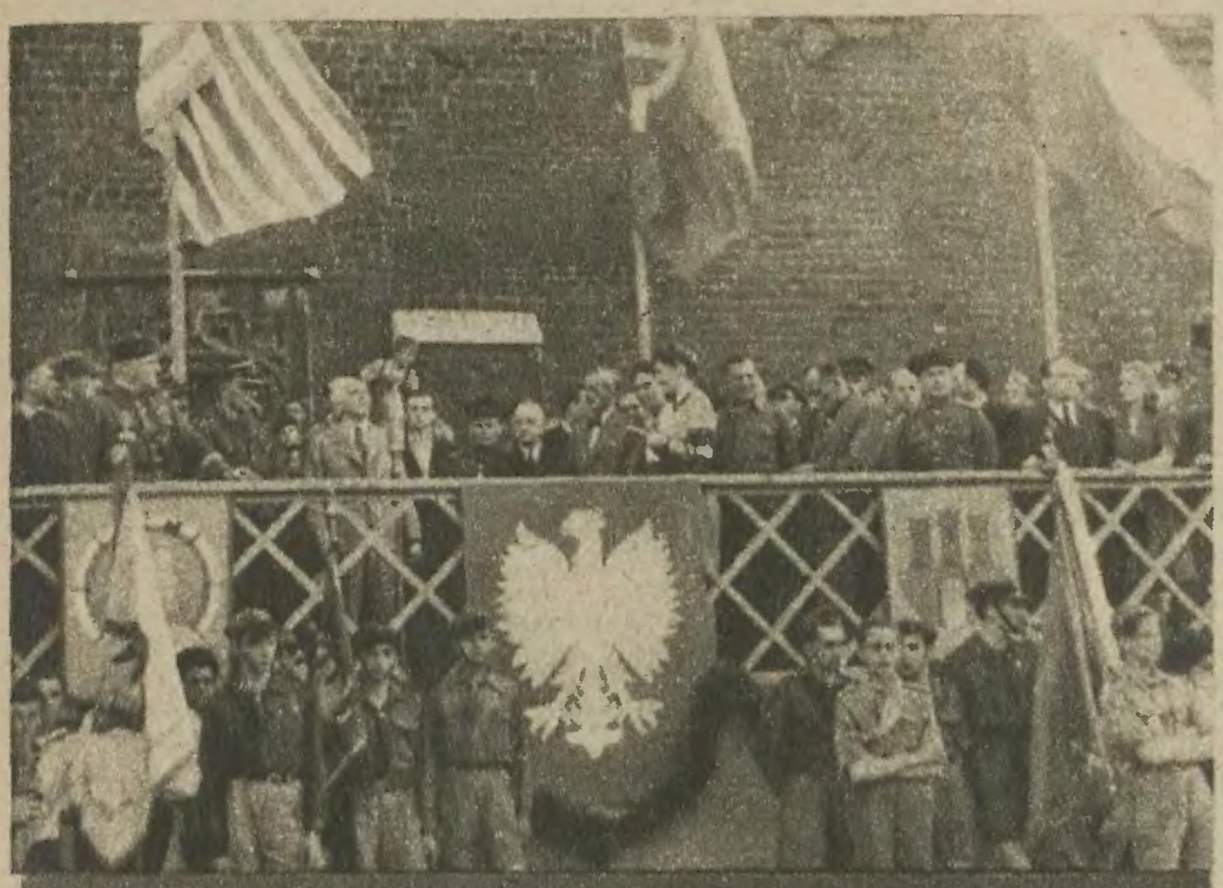

Fragment obchodu na Rynku w Krakowie. Z trybuny przemawia wiceprezydent miasta dr Ter

Liczne transparenty wielkimi literami głoszą wolę i jedność narodu

Tłumy Krakowian falują u stóp Wawelu

Kompania honorowa w momencie oddawania triumfalnej salwy

## Warszawa przy pracy

Odbudowa elektrowni postępuje

Stacja pomp zaczyna działać

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

# „Czekanie" się skończyło

Najważniejszym wydarzeniem tygodnia jest niewątpliwie osiągnięte w Moskwie porozumienie w sprawie Rządu Jedności Narodowej Rzeczpospolitej Polskiej.

Porozumienie to zostało osiągnięte wbrew reakcji polskiej, wbrew t. zw. „rządowi" londyńskiemu. Ładne mi porozumienie, ładna mi jedność narodu — powie ktoś, owiany jeszcze urokiem „londyńskim" — jeżeli nie bierze w nim udziału ani jeden z „ministrów" londyńskich.

Otóż zapamiętajmy sobie, że nigdy i nigdzie porozumienia i zjednoczenia nie powstawały tak sobie, dla samej przyjemności porozumiewania się i jednoczenia. Za każdym razem zjednoczenie powstawało przeciwko komuś. Jedność zawsze znaczyła — większość. Naród jest zbyt skomplikowanym organizmem. W łonie jego zawsze się znajdą tacy, którzy zyskują na tym, na czym naród traci, tacy, których interes jest przeciwstawny interesowi większości narodu. Jakież może być z nimi zjednoczenie?

My, Polacy, mamy szczególnie dotkliwe pod tym względem wspomnienia historyczne. Za czasów Polski szlacheckiej panował u nas taki „mądry" zwyczaj: kiedy po burzliwych i krwawych sejmikach zjeżdżali się posłowie (wybierani wyłącznie przez szlachtę) na sejm, uchwały ich, aby miały stać się ustawami wymagały całkowitej jednomyślności wszystkich posłów. Wystarczyło, aby pod koniec sejmu jakiś jeden krzyknął „veto" („nie pozwalam") i natychmiast cały sejm zostawał zerwany, wszystkie uchwały stawały się nieważne.

Ten system znakomicie służył magnatom i obcym potencjom. Jeżeli ktoś mądry zaprojektował jakąś uchwałę, niewygodną dla magnata, magnat taki przekupywał po prostu jakiegoś szlachetkę, obdarzonego wzamian sumienia i mądrości potężnym gardłem i ten w odpowiedniej chwili ryczał „veto". Powstawał tumult, co lepsi brali się do szabel, przekupiony szlachetka zmykał, a sejm przestawał funkcjonować.

Coś w tym rodzaju oglądamy obecnie. Naród się jednoczył w walce z okupacją niemiecką, w trudzie i znoju budował swoje nowe instytucje państwowe, przeprowadzał reformę rolną, tworzył armię, walczył o granice na Odrze i Nisie, kolonizuje teraz te ziemie itd., itd. A „rząd" londyński siedział w hotelu Rubens i na każdą wiadomość z kraju odpowiadał „veto".

Czy mamy się dziwić, że takiego „rządu" zjednoczenie narodu w ogóle nie zauważyło?

Ten proces zrastania się jedności narodu, który obserwujemy teraz w Polsce, w innych krajach miał przebieg o wiele szybszy. W takiej np. Czechosłowacji, Francji czy Norwegii w ogóle nie było rozłamów. W każdym z tych krajów był jakiś Hacha, Petain czy Quisling. Proces zjednoczenia narodu, rzecz prosta, nie ogarnął tych sprzedawczyków. Zjednoczenie odbyło się nie z nimi, lecz przeciw nim.

W Jugosławii dłuższy czas naród był rozbity aż na trzy obozy: garstki quislingowców chorwackich Pawelicza i serbskich Nedicza, ekspozytura emigranckiego rządu — t. zw. czetnicy Michajłowicza i wreszcie potężna ludowa armia partyzancka marszałka Tito. W toku walki z okupantem okazało się, że Michajłowicz reprezentuje ideologię „stania z bronią u nogi" i walczy nie tyle przeciwko Niemcom i zdrajcom, ile przeciwko właśnie jugosłowiańskim partyzantom. Proces zjednoczenia narodowego w Jugosławii objął wówczas wszystkie podstawowe warstwy narodu, które coraz szybciej i bardziej zdecydowanie przeszły na stanowisko partyzantów Tito. W ostatnim kwartale ubiegłego roku proces ten został ukoronowany utworzeniem nowego rządu, w skład którego weszło kilku ministrów emigranckich, którego zaś premierem został Tito. Rząd emigracyjny wyparł się Michajłowicza, który ostatnie miesiące wojny spędził już zupełnie jawnie w szeregach armii hitlerowskiej.

U nas w Polsce nie było Pawelicza czy Nedicza. Byli jednak i u nas politycy, którym bardzo podobał się Michajłowicz i których postępowanie w kraju znakomicie przypominało metody czetników. Grupki NSZowskie, napół oficjalnie współpracowały z oddziałami gestapo, przy wyłapywaniu aktywnych partyzantów. Bór-Komorowski, jak stwierdza jego zastępca i następca Okulicki, parokrotnie prowadził rozmowy z przedstawicielami niemieckiego dowództwa. Rzecz prosta, że większość podwładnych Bora nic o tych rozmowach nie wiedziała i nic wspólnego z nimi nie miała.

Otóż osiągnięte ostatnio porozumienie przypomina w pewnej mierze powstanie rządu Tito-Szubaszic w Jugosławii. Najlepsze, najszczerzej demokratyczne elementy z kraju i zagranicy doszły do porozumienia. Stwarza to nareszcie możliwości przyspieszonej odbudowy, przyspieszonej normalizacji życia.

Naród nasz z opóźnieniem przechodzi przez ten proces jednoczenia się. Inne narody europejskie wyprzedziły go o kilka miesięcy. To bardzo dużo w tym przyspieszonym tempie, w którym żyje dzisiaj świat. Nakłada to na nas dodatkowy obowiązek nadrobienia tego opóźnienia, ażebyśmy nie pozostali w tyle za resztą Europy. Ci, którzy „czekali", niech będą uprzejmi wziąć to pod rozwagę. „Czekanie" się skończyło. Jeśli łaska, proszę do roboty.

**Józef Cercha**

# O POTRZEBIE ENTUZJAZMU

W maju 1937 roku stałam wieczorem na Picadilly Circus w Londynie i z radością patrzyłam na tłum, święcący zabawą dzień koronacji królewskiej. Widok był doprawdy godny podziwu. Nie był to przecież Paryż z jego żywiołowością, bezpośredniością i tradycją zabaw w rocznicę 14 lipca... była to mglista i flegmatyczna stolica Anglii — zdawałoby się o całe niebo spokojniejsza i bardziej zrównoważona od przekornej i śmiałej Warszawy.

W natłoku rozbawionych, pijanych weselem i beztroską ludzi plątałam się samotna, chwytana w koła i uściski, zasypywana przez serpentyny i confetti, ogłuszona przez gwizdki, trąbki i okrzyki. Śpiewki i harce, dziecinne wybryki, to tak zwane u nas „wygłupianie się" — Anglików, wydawały mi się nie tylko zawstydzające, ale i godne podziwu. I żałowałam naprawdę i jakby w imieniu całej Polski tego, że nigdy nie potrafiłabym uczestniczyć w takim zbiorowym szaleństwie, że przynależność do naszego społeczeństwa odbiera mi lekkość i bezkrytyczność reakcji na radosne zdarzenia. Czy byłaby do pomyślenia taka wspólna publiczna zabawa w jakimkolwiek z polskich miast?

Polska ulica zna rozmaite szaleństwa i wybryki. Potrafi kipieć odwagą, buntem, bohaterstwem i upojeniem walki, nie szaleje nigdy w afirmacji. Polska ulica zaludnia się i podnosi głos w dnie grozy, pustoszeje i głuchnie w święto.

Nasz entuzjazm jest zawsze trudny, wyrasta w ogniu wojen, w krwawym wysiłku i sąsiaduje o krok ze śmiercią — nie zawsze wystarcza go, by przekroczyć granicę między dążeniem a dokonaniem. Nie stać go już na to, by wpłynąć na szerokie wody radości. Spalilibyśmy się ze wstydu, gdyby nam kazano przy okazji święta narodowego ubrać błazeńskie czapki i fikać kozły na publicznych placach i robić mnóstwo innych głupich rzeczy, które wyczyniają w radosnych okolicznościach Francuzi, Anglicy czy Włosi.

Wtedy, gdy pochód pierwszo- lub trzeciomajowy był rewią sił konspiracyjnych wobec wroga, a uczestnictwo w nim wymagało odwagi — a nawet bohaterstwa — skupiano się ochotnie, świadomie na ulicach pod biało-czerwonymi i czerwonymi sztandarami. Gdy zwycięstwo zostało osiągnięte i pochód przekształcił się w łatwą i huczną ostentację uczestnikom tego zabrakło cierpliwości, by trwonić długie godziny na udekorowanych ulicach.

W czasach, gdy manifestacja publiczna groziła represjami i więzieniem — gromadziła ona tłumy zdecydowanych na wszystko, upojonych wolą ludzi. Nikt nigdy zato nie spieszył zbytnio w Polsce na wspaniale organizowane i tak reprezentacyjne defilady wojskowe, czy sportowe. Poco? Polak zbyt szybko nasyca się pewnością, by jeszcze dalej wiwatować, paradować, śpiewać, gdy cel został już osiągnięty. W samym momencie dokonania — zachodzi w psychice polskiej zasadnicza zmiana. Jak niektórzy mężczyźni — zdobywszy kobietę — przestają o nią zabiegać i cieszyć się nią głośno — tak samo i Polak często z ognia walki przechodzi bezpośrednio do refleksji, rewizji pojęć, ba, nawet i krytyki. Wtedy, gdy na placach Londynu i Paryża, Rzymu, Moskwy — płoną jeszcze iluminacje i huczą wiwaty — w Krakowie, czy Poznaniu ludzie już zaczynają się zastanawiać, martwić i kłopotać. Londyńczyk, czy Paryżanin w dzień święta narodowego nie zaprząta sobie głowy rewizją ustalonych pojęć, nie stara się być mądrzejszy, niż leader jego partii i bardziej przewidujący, niż minister. Cieszy się i bawi ufnie, beztrosko, szczerze tym, że ktoś coś waż-

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

# POMORZE CZEKA NA WAS...

Fot. Wytwórnia Filmowa W. P.

Osada Nowy Polczyn na Pomorzu Zachodnim

Częściowo zniszczony dworzec kolejowy w Gdańsku

nego wykonał, czy wczoraj czy przed wiekami i że w rezultacie on może dziś pić wino, czy whisky — i tańczyć ze swą ukochaną w łunach świątecznej iluminacji. Polak nie umie skakać i śpiewać głośno (jeśli nie jest pijany). Wstydzi się patriotycznych wzruszeń i lubi sądzić surowo zdarzenia polityczne.

Maksyma Żeromskiego o „rozdzieraniu ran polskich, żeby się nie zabliźniły błoną podłości" spełniła swą wielką i twórczą rolę — ale jednocześnie urosła z biegiem ciężkich lat do rozmiarów samoudręczenia i nabrała masochistycznych akcentów.

Rzeczywistość polską karci analiza filozofa, chłoszcze dowcip satyryka, znieważa brutalność malkontenta.

A ta biedna, pokrzywdzona rzeczywistość bywała w ciągu ostatnich stuleci tak tragiczna i posępna, że wartoby ją przestać cenzurować i znieważać w chwilach rzadkiej radości. Stają się w dziejach cuda i padają w proch znienawidzone potęgi. Hitleryzm runął — wojna się skończyła, nasi żołnierze wracają ze zdobytego Berlina. Pługi zorały wolną ziemię pod wiosenny zasiew... A my co? Jak reagujemy na ten cud w uroczyste święto zwycięstwa? Czy stać nas na wybuch prostego entuzjazmu — na szczerą wesołą reakcję uświęcającą to szczęście?

Nie, nam kręcą się łzy w oczach... Słowacki znał dobrze tę polską właściwość -- mówił o „płaczu zmartwychwstania" przewidując w „Kordianie" dzień wolności. I widocznie ten skurcz płaczu, paraliżujący głos — pojawia się w każdym pokoleniu, w wielu dziejowych momentach.

Nie płakałam, pełznąc pod barykadą w świście lecących koło mnie kul — ale płakałam na dźwięk hymnu narodowego, który po pięciu przeszło latach męki, zagrały mi trąby polskich żołnierzy. Bez łzy szłam w wielkim tłumie wygnańców przez spalone ulice Warszawy. Ale ocierałam łzy w dzień zakończenia wojny, w zapachu bzów, które mi zakwitły wreszcie radośnie na lufach karabinów.

Przyznaję się do tych łez i nie chcę ich i chciałabym na zawsze wytępić skłonność do nich w naszych duszach.

Bo przecież nie poto czekaliśmy w utęsknieniu, w męce, w zawziętej walce na to niepojęte, cudowne szczęście zwycięstwa, nie poto zobaczyliśmy wreszcie żywymi oczyma trzepot biało-czerwonych chorągwi na słonecznym niebie — by zatruwać sobie smak tych jedynych dni — troską i żalem. Stoimy dziś na gruzach naszych miast i na grobach naszych bliskich i nie możemy się cieszyć pełną piersią, ani śmiać beztrosko i radośnie. To prawda.

Ale na gruzach i cmentarzach wyrosną przecież szczęśliwe miasta przyszłości. Będą miały kwitnące zieleńce, lśniące asfaltem place, ogromne boiska...

I wierzę, że potrafimy przezwyciężyć łzawy nawyk tylu ciężkich lat wojny i zapomnimy o dniach, gdy każde nasze wyjście na ulicę było wyzwaniem, rzuconym wrogowi i losom. Wyjdziemy na te place ze śpiewem i migotem chorągwi...

A nasze dzieci będą w pełni radości i swobody tańczyć i krzyczeć wśród zielonych drzew.

Niepomne trudnego entuzjazmu naszych krwawych dni — wyhodują w sobie entuzjazm łatwy, żywiołowy i prosty, wybujałą w szczęściu afirmację.

W rocznicę ostatecznego zburzenia Bastylii niemieckiej przemocy, w dzień urodzin wolności zapłoną ulice miast polskich od łun i zabrzmią melodią. Śmiech, śpiew i taniec i szczęście zapanują nad goryczą wspomnień i strat.

Stoimy dziś na progu zdobytej na wrogu wolności. Mrużymy oczy i milczymy oszołomieni. Uważajmy pilnie, by godnie i zwycięsko stawiać swe pierwsze kroki — i by zostawić za tym progiem balast zbytecznej refleksji i nalot smutku, mogący zniszczyć i wykoszlawić nasz twórczy optymizm, cenny, zapładniający dar entuzjazmu.

**Hanna Mortkowicz-Olczakowa**

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

22.VI.1941-22.VI.1945

# DEFILADA ZWYCIĘSTWA W MOSKWIE

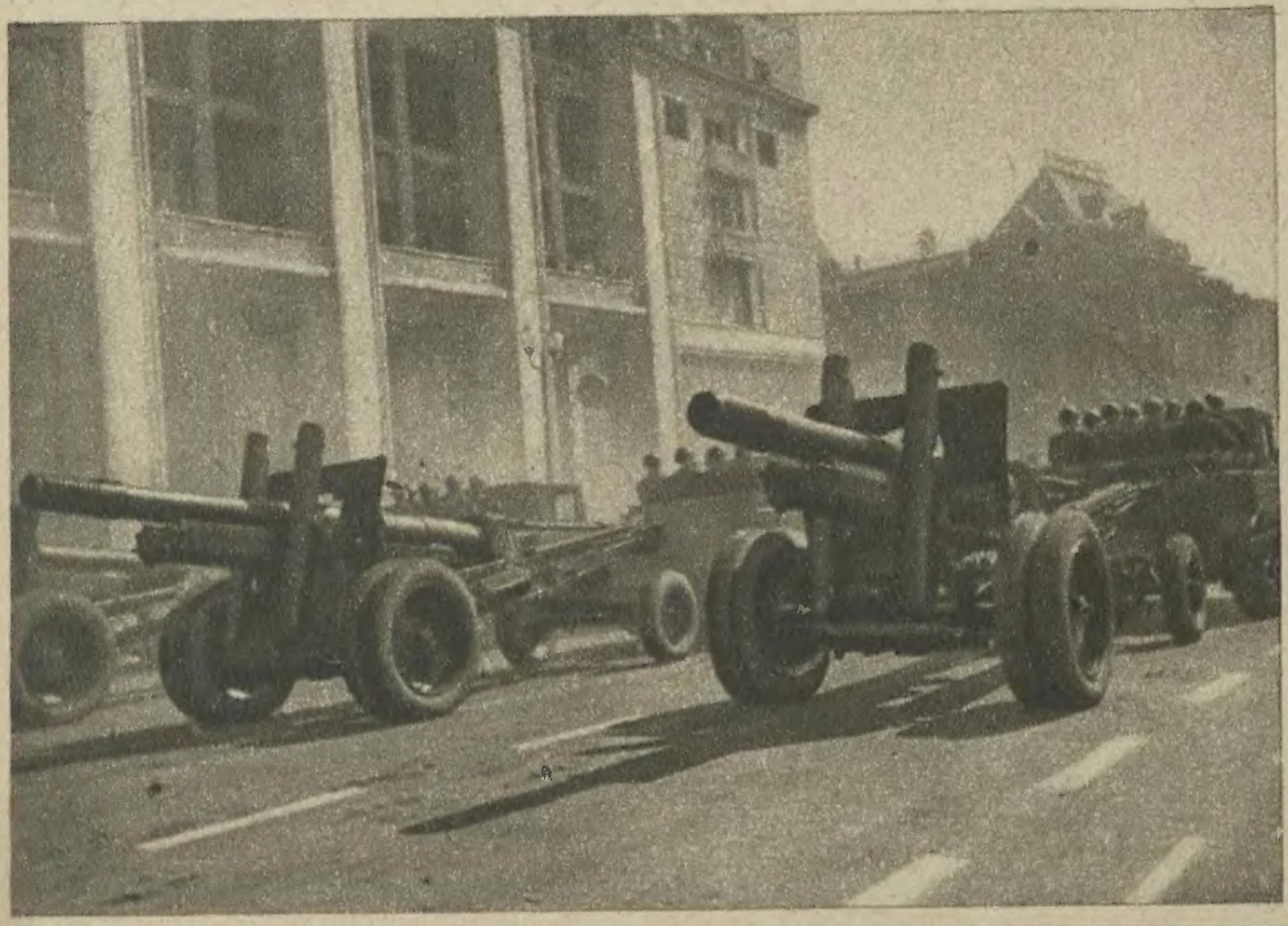

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

WOJCIECH ŻUKROWSKI

# Smak wolności

Gliwice, w czerwcu.

Gorzki jest wąski listek wierzbowy, który w zamyśleniu gryzę, gorzki i pełen wiosennej świeżości. Nie oddałbym tej wiosny za żadną z przeżytych. Zwalona ściana przychyliła pień wierzbowy, wcisnęła koronę w opalone okno. Zielona grzywa wydziera się spomiędzy ceglanego rumowiska i żyje, tryska młodym liściem, wonnym i lepkim. Niżej czarna woda kanału odbija szeregi zdruzgotanych domów. Dzień jest pogodny, a niebo świetliste i głębokie.

Jestem w Gliwicach już drugi miesiąc, więc miałem czas przejrzeć wiele spraw do dna, poznać ludzi i miasto. W moich oczach dokonywało się przebudzenie.

Przede mną długa perspektywa Alei Zwycięstwa wznosi swe umarłe mury naprzemian z domami, które już żyją. Z balkonów, z okien zwisają dwubarwne chorągiewki. Nie jest ich dużo, na czteropiętrową kamienicę — dwie, trzy, czasami jedna. To mieszkania, zajęte przez Polaków, przeważnie urzędników i przesiedlonych ze wschodu. Wystawy sklepowe zabite deskami mają w sobie coś przyczajonego, gotowe są w każdej chwili pęknąć i zaskoczyć nas niespodziewanym rozkwitem. Uprzątnięto już szkło, papiery i manekiny. Do niedawna te zwłoki tekturowe, karmelkowego koloru, leżały w czułych pozach, obejmując się wytwornymi, usmuklonymi palcami. Linie tych sztucznych ciał były bez przysłaniających je szmatek nie do zniesienia. Dziś, w łagodny ranek czerwcowy, za deskami słychać uderzenie młotków, szybkie, niecierpliwe.

Ulicą spływa cienka struga przechodniów, roją się jak mrówki w rozgrzebanym mrowisku. Każdy coś dźwiga, wlecze, niesie, przygięty, niespokojny, brudny, spocony. Spotykają się, wymieniają parę słów, wymownych, często obelżywych gestów i rozbiegają się szybko.

Szaber? Tyle się grzmi na ten temat, że choćby dla samej przekory muszę ich bronić. Gdy przyjrzałem się temu z bliska, jestem skłonny wybaczyć. Szabrowanie jest działaniem instynktownym, jest wyzwoloną zapobiegliwością, wściekłą chęcią prędkiego nasycenia się, dochrapania czegoś po latach niedosytu i nędzy. Szabrownicy uwijają się raźno i skrzętnie zbierają każdą okruszynkę. Gdybyście widzieli, ile zadają sobie trudu, co za ciężary dźwigają, jak pokornie proszą, — patrząc na nich wiem, że naród nasz jeszcze wiele „znieść" potrafi. Wloką z błędnym wzrokiem, z ociekającym czołem graty, które może uległyby zniszczeniu, a tak piętrzą się na łonie naszej „ukochanej, cierpiącej Ojczyzny".

Ostatecznie 60 wyprutych powłóczek z pierzyn, to może przesadna gorliwość, więc babinę osadzono w obozie, ale gdy się spojrzy z innej strony, ona by tych wszystkich wsypów nie zużyła, 58 rozeszłoby się między ludem i trafiło pod strzechy. Oczywiście za gotówkę! No i babina by się wzbogaciła. Dobrobyt państwa mierzy się zamożnością obywateli, więc zacznijmy od najruchliwszych jednostek...

Drodzy Czytelnicy, szabrowanie, wierzcie mi, jest raczej przyjemnością, niż zajęciem intratnym. Dlatego, jeśli ciskacie anatemę, zawsze byłbym skłonny pomówić was o niską zazdrość. Bo każdy jest potencjalnym szabrownikiem. Chciałbym was wpuścić do porzuconego mieszkania i ciekawy jestem, ilu by z was nie zajrzało do szaf, nie pogrzebało w szufladach. Szabrowanie ma coś z dziecinnego poszukiwania ukrytych skarbów, ma posmak przygody i niespodzianki. Odkrywcy kontynentów czymże byli, jeśli nie szabrownikami na wielką skalę. Ale dość tej apologii. Piszę bom wesół i sam pełen winy. Przyznaję się cynicznie, dlatego mają mnie za lekko pomylonego, albo za bardzo chytreńkiego, bo szabruję książki. Pewien emerytowany sędzia z Będzina przez pół dnia nie odstępował mnie na krok i widząc, jak przewracam kartki, pytał konfidencjonalnie: „Myśli pan, że tu będą dolary?"

Książki walają się wszędzie — po opuszczonych mieszkaniach, schodach, po piwnicach i śmietnikach. Okaleczone, podarte i zapaskudzone. Cierpienie książki porusza bardziej moje oschłe serce, niż widok cierpiącego człowieka. Człowiek nie koń, niejedno przetrzyma. Kopiąc w stosach obrzydliwości, które kryją w sobie mieszczańskie domy, raz po raz natrafiam na powieści francuskie, włoskie i angielskie. Mam Prousta, Du Garda i ulubionego Fourniera. Całą stertę odłożonych klasyków angielskich jakiś dowcipniś oblał mi butelką tuszu do powielacza. Z książek niemieckich, zwłaszcza technicznych niejedno dałoby się wybrać. Dziwię się, że dotąd nie znalazł się jakiś sprytny, a uczynny człeczyna, który by wziął na swe sumienie monopol zbierania makulatury. Robotnice, Niemki za darmo, opróżnione hale fabryczne na składnice, tylko ładować cenny surowiec. Nie potrzebowałby nic kupować, sami by się mu wpraszali, żeby im tylko raczył uprzątnąć biura i mieszkania, w których papier stertami butwieje, przybiera, kipi kaskadami kart. Piszę: monopol, bo myślę o „Czytelniku", który ma tak świetnie rozbudowaną sieć i tak mało książek! Zaraz byłby papier na zapowiadane wydawnictwa. W razie wykorzystania mego projektu zastrzegam sobie stanowisko sortującego i skromniutki procencik.

Nie macie pojęcia ile się trzeba nadźwigać, wlokąc walizę pełną książek. Ile przy tym radości, gdy mnie trzykrotnie legitymuje Milicja. Udaję strachy, wykręcam się, targuję, wreszcie otwieram walizę, a oni z obrzydzeniem spluwając odchodzą. Jeden jeszcze nieufnie pogrzebie, dopiero przeczytawszy moją legitymację związkową, ze współczującą życzliwością wskazuje mi nowe możliwości obłąkanego szabru.

Książki te, oprócz paru, których z życiem nie oddam, przeznaczyłem już do biblioteki literatów w Katowicach, włączy się je oczywiście z odpowiednim napisem — dar z szabrowania Wojciecha Żukrowskiego.

Milicji jest ciągle zamało, jesteśmy często na służbie 48 godzin, często nie było nawet kim posłać żywności, bo patrole muszą krążyć, obiekty zabezpieczane muszą mieć osłonę i na posterunkach też musi tkwić jakaś załoga. Gdy tu „nastałem" bywało gorąco, z zapadnięciem zmierzchu zaczynała się strzelanina, trwająca do świtu. Teraz jakoś się uspokoiło.

Ustały też rabunki. Kilka razy nieprzytomny jeszcze ze snu, zbudzony brzękiem wybijanych szyb łapałem za automat i waliłem serię na postrach. Zaraz pomagało.

Sprawa Niemców jest jeszcze ciągle otwarta. Z gromkich oświadczeń wynikałoby, że Niemcy pójdą za Odrę. Na razie tylko Czesi spławiają ich gładko, ale wysiedlanych nie chcą przyjmować do macierzy, więc znowu wędrują po ziemiach śląskich i nasycają obcym elementem wioski i miasta. Wracają i frontowcy, zrzuciwszy mundur, charakteryzują się na ofiary regimu, na czcigodnych męczenników i „mit rote Fane" nabierają łatwowiernych Słowian.

Ulicami przechodzą długie tabory przesiedlanych. W znużonych twarzach jest jedno pragnienie — być już na swoim. Widziałem jeżdżąc autem w teren wzruszające sceny, chłopów modlących się na progach zajmowanych domostw, obchodzących z obrazkiem Matki Boskiej Poczajowskiej odzyskane zagony. Tych się łatwo nasyci, mają swą ziemię.

Przed nami perspektywa ulicy pełnej przebudzenia. Dziki handel wymienny krzewi się po bramach i skwerkach. Każdy pociąg wyrzuca tłumy nowych eksploatatorów. Słyszycie, biją młotki po zabitych deskami wystawach, dudnią coraz szybciej, coraz niecierpliwiej. Nie wiem, czy to ostatnie gwoździe, wbijane w wieko stygnącej epoki, czy też werbel nowego życia.

Pod znakiem demokratyzacji oświaty. W Łodzi odbył się pierwszy Ogólnopolski Kongres Oświatowy, który zgromadził naukowców i pedagogów z całego kraju. Na zdjęciu Minister Oświaty ob. Skrzeszewski udaje się na otwarcie Kongresu

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

# Odwiedziny w Rzeszotarach

12-letnia Zosia Stryszowska powiada: — „O, to jest bardzo mądra koza. Jakeśmy z tatulami przyszli tutaj na mieszkanie, to ona prosto do obory. Popatrzyła. Obwąchała i zaraz po tym na zieloną trawę... Smakowała jej, jak nigdzie...

— A krowie też smakowała?

— Jeszcze się pytaj! No chyba, bo teraz źre własne i z własnej łąki. Rozumiecie? Z własnego...

Fot. J. Szwedo

**Zajechał samochód** reporterski przed dworek. Opadła go dzieciarnia:

— Gdzie ojce?

— Wiadomo, że w polu. Nie próżnują, bo sianokos. Ale chyba przyjdą, gdy się zwiedzą, żeście przyjechali.

— No a wy chłopaki, jak wam „na nowym"?

— Oho, dobrze! Ino, żebyście jeszcze ziemi więcej dali...

## CZTERECH CHŁOPÓW - CZTERY ROZMOWY

**JULIAN STRYSZOWSKI**

— Każdy z 34 rzeszotarskich dostał coś. Zawsze sprawiedliwiej, kiedy tylu się cieszy, zamiast-by jeden, czyli dawny dziedzic, a prawdziwie: aptekarz z miasta, co dwór na handel i na zarobek kupił. My, tj. ja, żona i 5 dzieci dostali z tego 3 ha razem, czyli 2 ha ornego i 1 łąki. Do 1 marca tego roku, bieda aż skwierczała. Nędza była i u nas i — niecały mórg ojcowizny. Teraz rzuciłem krawiectwo — nie wiele zarobisz. Roboty tutaj huk! Pozwolili nam mieszkać do czasu, aż się pobudujemy. No i jakoś lżej na sercu — chleb będzie!

Obraca w ręku akt nadawczy, którym się szczyci:

— Ktoby pomyślał, że jeszcze w styczniu byli tutaj Niemcy. Wie redaktor, że ta nasza Polska — wielka rzecz, bo mądra i sprawiedliwa, bo chłopska...

**JAN KOWALCZYK**

**— 4 rodziny mieszkają tutaj z łaski Samopomocy Chłopskiej, bośmy najbiedniejsi ze wsi. I baby nasze się nie kłócą między sobą. Nie pozwalamy! Na starym mogły — na nowym byłby despekt i obraza. Ziemniaki okopywałem, gdyście zajeżdżali. Rozną. Wiecie, z początku to serce w człowieku drżało, a nocami myśl trzepotała we łbie i w ciemności — „czy aby nie odbiorą danego...!" Teraz już nie. Kiedyś do Krakowa biegało się codziennie. W żar. Albo we mróz. Żeby zarobić. Dosyć! Gdzieby czas...! Gromadzkiego i swego dobra trzeba pilnować. Przyjedźcie w jesieni. Pocie do syta naszych ziemniaczków. Nie jednym pogadamy...**

**JÓZEF OPRUSZEK**

**Z niejednego pieca chleb jadał. Zawsze z — cudzego. Marzy o postawieniu chałupy. Razem z trojgiem dzieci i z żoną. Dostał 2 ha, co razem z 1/2 morgiem żoninego wiana: — „już jest nie byle co". Ongi, przed reformą parał się ślusarką. Obecnie nie ma czasu na chodzenie na zarobki do Krakowa, przy budowach. Na swoim: — „majsterkę trzeba wykonać i sąsiadom ze wsi pomóc — zamki i kłódki poprawić. Nie za grosze — za dobre słowo. Bo kiedy człowiek jest już na własnym, na byle grosz nie poleci..."**

**WOJCIECH MALEC:**

Nie on do prasy, ale ona do niego poszła. Szerokim zamachem kładł pokos na własnym skrawku łąki. Na nasz widok roześmiał się przyjaźnie:

— Wybaczcie, żem nie leciał na spotkanie, chociażeście dobrzy goście. Ale robota — robotą. No i jakoś się chciało, żebyście własną nogą stanęli na naszym reformowym dorobku... Żebyście zobaczyli — na tym sąsiednim życie, jakto dawni dziedzice na takiej ślicznej ziemi partaczyli. Same kąkole i osty. Nasze, chłopskie na przyszły rok będzie lepsze! Musi. Za to łąka — samo złoto. Ale nie dawnych panów zasługa. Matki — ziemi. Mądry rząd — wiedział komu dać. Chłop skarbu takiego nie zmarnuje...

**DWAJ SOŁTYSI — DWIE EPOKI**

**Dawny: Jan Gawor — obecny: Tomasz Kurletto, starzy znajomi reportera, uśmiechają się:**

**— W Rzeszotarach Górnych (14 km od Krakowa, pod Świątnikami) między najbiedniejszych 34 chłopów rozdzielono 48 ha dworskiej ziemi.**

**— Zadowoleni?**

**— Idźcie i przekonajcie się.**

Wiekowa lipa zielonymi liśćmi szemrze o nowym życiu w rzeszotarskim dworku...

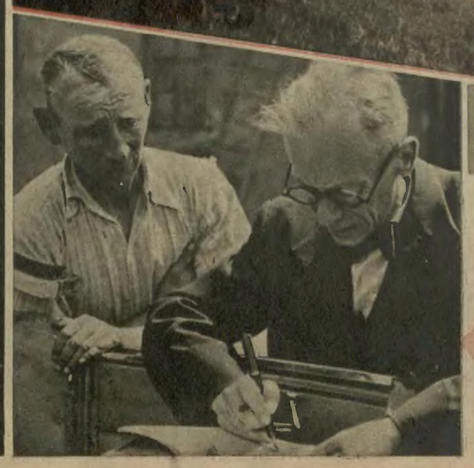

**REPORTER**

— Cechą charakterystyczną, cechą znamienną nowego życia w Rzeszotarach Górnych po reformie rolnej jest — uśmiech!

Wszystko się śmieje i — do wszystkich. Ludzie do nieba — niebo do ziemi. Słońce do ludzi — ludzie do ciebie...

**Julian Podoski**

# 24 godziny

Wśród przyjezdnych na dworcu łódzkim znalazła się dziś p. Jadzia. Wysłała ją do Łodzi dla załatwienia ważnych spraw Spółdzielnia, w której pracuje

1

W drodze z dworca trudno się oprzeć pokusie obejrzenia wystaw sklepowych, przyciągających wzrok pięknem materiałów z łódzkich fabryk

2

Dziesiątki dzienników i czasopism w kioskach świadczą o rozwoju prasy polskiej. Trzeba kupić „Rzeczpospolitą" i „Przekrój" no i oczywiście wesołe „Szpilki".




3

„Dwójka" jedzie na Chojny, „ósemka" na Julianów, „dwunastka" na kolej obwodową... oj, zgubić się można! Któryż tramwaj jedzie na ul. Tymienieckiego?



4

W Państwowych Zakładach Włókienniczych załatwiono sprawę p. Jadzi szybko i bez biurokratycznych trudności Spółdzielnia będzie zadowolona

# w Łodzi

REPORTAŻ FOTOGRAFICZNY R. BURZYŃSKIEGO

5

Dwóch uprzejmych obywateli, członków Rady Załogowej, oprowadziło ip. Jadzię po fabryce. Na pamiątkę zrobiła im zdjęcie fotograficzne.

6

Państwowe Zakłady Włókiennicze mają wspaniałą stołówkę i kuchnię, wydającą dziennie 3000 obiadów. „Prosimy teraz na obiad!"

7

Sprawy handlowe załatwione. Trzeba pomyśleć o przyjemności! Ileż w tej Łodzi kin i teatrów! A tujeszcze koncerty, Ogród Zoologiczny, cyrk... Gdzież się wybrać?...

8

Najpierw na chwilę do lunaparku! Następnego dnia p. Jadzia opuści Łódź, unosząc wspomnienie barwnego dnia w wielkim mieście...

*Janusz Minkiewicz*

## Słowa, słowa, słowa...

*Kelnerka w knajpie „Gdynia"*
*Podając stek wieprzowy,*
*Powiada, że „pracuje*
*Dla celów odbudowy..."*

*Pan obywatel Kufel,*
*Właściciel knajpy „Gdynia"*
*Też twierdzi, że się „Sprawie"*
*„Zasłuża" i „przyczynia".*

*Swą charakterystykę*
*Ubiera w skromne słówka:*
*O sobie — że „inicjator",*
*O knajpie — że „placówka"...*

*Dostawca knajpy „Gdynia",*
*Ćmiąc papierosa „Wolność",*
*Do wzniosłych powiedzonek*
*Objawia również zdolność:*

*On „handel uaktywnia*
*Przez trud i znój codzienny,*
*Czym wnosi w młode państwo*
*Wkład skromny, ale cenny"...*

*Gość stały knajpy „Gdynia"*
*Też z patrioty ma cóś,*
*Bo w kinie był „Ojczyzna"*
*Na polskim filmie „Wacuś"...*

*Rozbrzmiewa tak po kraju*
*Podniosłych słów symfonia:*
*Co kino, to „Ojczyzna",*
*Co dancing, to „Polonia"...*

*Odświętne wyrażenia*
*W powszednią wchodzą mowę —*
*Prywatne całkiem sprawy,*
*Lecz słowa — „narrrrrodowe"...*

*Typowi typ się zwierza,*
*(O mało przy tym nie łka),*
*Że jego „cicha praca*
*To cenna jest cegiełka"...*

*Bynajmniej nie cegiełkę,*
*Lecz cegłę wziąć wartoby*
*I słowa bez pokrycia*
*Z niejednej wybić głowy!...*

© digitalizacja: bibliotekaglogowska.pl

# i ARYSTOKRACJA zmienia się

**Pani hrabina u krawca**
— Chciałabym taki fason — ale czy to na pewno jest „chłopka"?

**Wyprowadzka**
Duch starego zamku: — Ja też się wyprowadzam! Przecież nie będę straszyć członków Związku Samopomocy Ogrodowej.

**Restauracja portretów rodzinnych**
— Niech-no malarz przemaluje jeszcze wachlarz na trzepaczkę!

— Od dzisiaj nazywasz się Burek!

— Proszę wyrzucić tę cyklafonię i wsadzić do doniczki żyto!

Rys. Jan Kamyczek

© Biblioteka Narodowa | polona.pl

# NIEDZIELA

*Napisał B. Brzeziński • Ilustrował S. Brzozowski*

Niedziela ma inny smak zimą, a inny latem. W zimie niedziela niewiele różni się od każdego innego dnia tygodnia. Ludziska, otuleni w ciepłe palta, lub w futra, przemykają szybko do kawiarni, kin i teatrów, aby tam „odetchnąć" po sześciu dniach zbożnej pracy. Ale cóż to za odetchnięcie — w zadymionym, dusznym lokalu! A niedziela letnia... Ach,

czy może być piękniejszy, bardziej czarujący dzień? Całe miasto wyrusza na tak zwane łono natury, aby naprawdę — odetchnąć, odpocząć. Rzecz oczywista, że tylko dziwak wyrusza na zieloną trawkę sam. Samemu można pójść do kina, na koncert, nawet do knajpki na wódkę — chociaż się mówi, że tylko fiakrzy chodzą sami na wódkę — ale w piękny, niedzielny, letni dzień można wyruszyć za miasto tylko z osobnikiem płci odmiennej. To jest reguła. Samotnik na zielonej trawce budzi politowanie, niemal litość i trwogę. Piękno przyrody, woń kwiatów, śpiew ptaszęcy —

wszystkie te rekwizyty przyspieszają bicie serc i budzą w nas piękne, wzniosłe uczucia. Z szarych obywateli czynią nas romantycznymi poetami. Posłuchajmy dialogu na ławeczce.

— Będziesz tęsknił za swoją Alusią?

— Będę, aniołku.

— A bardzo będziesz tęsknił?

— Bardzo, ptaszynko!

— A jak bardzo będzie kotek tęsknił?

— Przez 23 godziny i 45 minut na dobę! — odpowiada z mocą kotek.

— A dlaczego nie przez całe 24 godziny?

— Bo widzisz — 15 minut codziennie poświęcam na golenie, a wtedy nie mogę o niczym innym myśleć, bo bym się zaciął...

Przysięgi miłości i wierności, może zresztą nietrwałe, jak wszystkie przysięgi, ale zawsze wysłuchiwane z przyjemnym wzruszeniem — słyszy się tutaj na każdym kroku. Zwłaszcza po wypiciu paru flaszek wódki — temperatura uczuć wzrasta gwałtownie. Nawet poważni panowie rzucają się sobie w objęcia i wzruszonym głosem wołają:

— Józio jestem! Mów mi Józiu!

— A ja... uważasz... Fe... Feluchna jestem! Mów mi Feluchna!...

I zaraz „fundują sobie pyska". Poprostu — buzi na zakąskę!...

W niedzielę jednak nie wszyscy się radują. Kupcy, którzy handlują „miękkimi" i „twardymi", tudzież złotem „na łom" i „w wyrobie" — mają w niedzielę kwaśne miny. Bo któż będzie z nimi robił tranzakcje? Kto myśli o złocie, gdy patrzy w brylanty oczu i na perły ząbków ukochanej?

A gdy mrok zapada, zakochani słuchają koncertu słowików. Ale niekiedy koncert się nie udaje. W jednej z miejscowości podkrakowskich słyszałem taką rozmówkę:

— Tutaj zawsze tak pięknie śpiewał słowik! Nie wiesz, Karolku, dlaczego w tym roku nie śpiewa:

— Niestety — odparł Karolek z ciężkim westchnieniem — ten słowik nie został zweryfikowany, bo śpiewał w czasie okupacji!...

Biedny słowik!

## Jan Brzechwa — MRÓWKA

Miał odwieźć wół
Do szkoły stół.

Powiada do osła: „Na Wieś
Stół ten do szkoły zawieź".

Osioł pomyślał: „O, źle!"
I rzecze do kozła: „Koźle,

Odwieź ten stół, bardzo proszę,
Dostaniesz za to trzy grosze".

Zawołał kozioł barana:
„Odwieź ten stół jutro z rana."

Baran był na podwórku,
Do psa więc powiada: „Burku,

Odwieź, bo mnie nie ochota!"
Pies wezwał do siebie kota

I warknął: „Kocie — ladaco,
Ty zająć się masz tą pracą!"

Kot stołu wieźć nie zamierza,
Przywołał w tym celu jeża.

Jeż myśli: „Gdzie stół, gdzie szkoła?!"
Więc szczura do siebie woła,

I mówi: „Do pracy, szczurze,
Stół odwieź szybko, a nuże!"

Szczur chciał się myszą wyręczyć,
Lecz mysz nie lubi się męczyć.

Więc rzecze do żaby: „Żabo,
Stół odwieź, bo mnie jest słabo."

Żaba jaszczurkę zoczyła:
„Jaszczurko, bądź taka miła,

Najmocniej proszę cię, zawieź
Stół ten do szkoły na wieś."

Jaszczurka w pobliskich gąszczach
Zdołała dostrzec chrabąszcza:

— „Stół odwieź, chrabąszczu drogi,
Bo bardzo bolą mnie nogi".

Lecz chrabąszcz to okaz lenia,
Powiada więc od niechcenia:

— „Wiesz, mucho, zamiast tak brzęczeć,
Mogłabyś mnie wyręczyć".

Mucha do mrówki powiadą:
— „Jest tu okazja nielada,

Stół trzeba odwieźć do szkoły,
Ty lubisz takie mozoły".

Mrówka,
Nie mówiąc nikomu ni słówka,

Chociaż nie była zbyt rosła
Wzięła stół i do szkoły zaniosła.

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

# TEATR

„Dzień jego powrotu“ Zofii Nałkowskiej gra obecnie w Krakowie „Stary Teatr“. Sztuka znakomitej pisarki nie utraciła siły, jednak po latach wojny zmienił się stosunek widza do problematyki tego dramatu. Bohater budzi obecnie nie współczucie, lecz wyraźną antypatię. Tych przeobrażeń nie uwzględnił reżyser (Ronard Bujański), przez co ideologia utworu dla widowni nie była jasna. Przedstawienie jest doskonale grane przez cały zespół z Zofią Małynicz i Januszem Warneckim na czele.

„Zieleni się zboże“ — komedię pod tym tytułem, pióra młodego dramatopisarza, aktora i reżysera angielskiego Emlyn Williamsa wystawił niedawno teatr katowicki w reżyserii Wilama Horzycy. Interesująca ta komedia dzieje się w walijskim okręgu węglowym i za jednego z głównych bohaterów ma młodego górnika, Morgana Evansa. Dzięki trafnej interpretacji wykonawców, w szczególności Ireny Grywińskiej (Miss Moffat) i P. Kondrata (Evans), udało się reżyserii wyraziście zarysować subtelnie snutą linię utworu, wijącą się na pograniczu dramatu i komedii.

## TEATR WIELKI W POZNANIU

Od soboty 2 czerwca codziennie o godz. 18

# KRAKOWIACY i GÓRALE

## OTWARCIE PIERWSZEJ OPERY W ODRODZONEJ POLSCE

— A więc, o ile dobrze rozumiem, gra pani po raz pierwszy w pierwszej operze polskiej, pierwszy raz wystawianej w Poznaniu i...

Janowska-Kopczyńska, znana artystka i śpiewaczka uśmiecha się i dodaje:

...i zarazem w pierwszym w ogóle przedstawieniu operowym w Odrodzonej Polsce.

Po lewej: W czasie próby generalnej jest zawsze najwięcej roboty: wszystko powinno być gotowe, ale chochliki teatralne płatają tyle figli, że trzeba było raz jeszcze przejrzeć i omówić to i tamto. Reżyser Horski i dekorator Szpingier przy pracy.

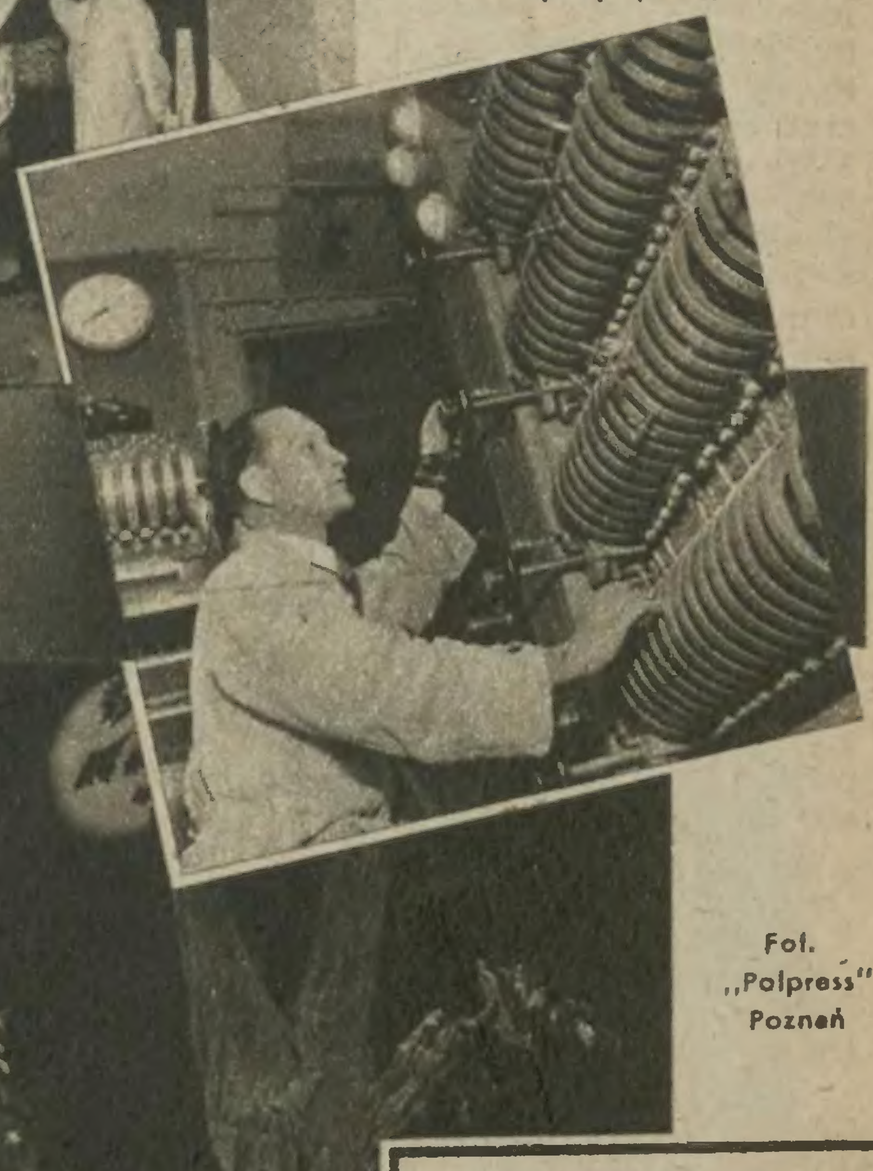

Po prawej: W czarodziejskiej kabinie elektromechanika, wywołującego z ukrycia Księżyc, chmury, burze, pioruny... Uwaga! Kurtyna w górę!

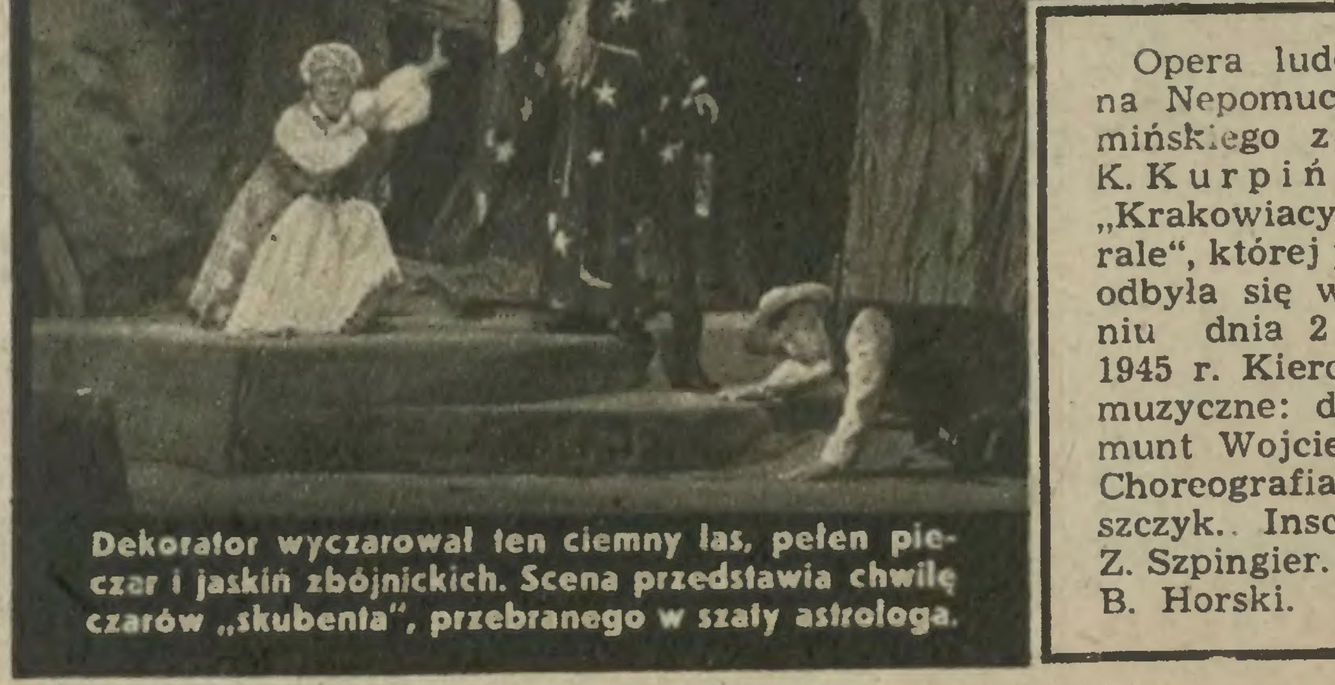

Dekorator wyczarował ten ciemny las, pełen pieczar i jaskiń zbójnickich. Scena przedstawia chwilę czarów „skubenta“, przebranego w szaty astrologa.

Fot. „Polpress“ Poznań

Opera ludowa Jana Nepomucena Kamińskiego z muzyką K. Kurpińskiego „Krakowiacy i Górale“, której premiera odbyła się w Poznaniu dnia 2 czerwca 1945 r. Kierownictwo muzyczne: dyr. Zygmunt Wojciechowski. Choreografia: S. Miszczyk. Inscenizacja: Z. Szpingier. Reżyser: B. Horski.

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

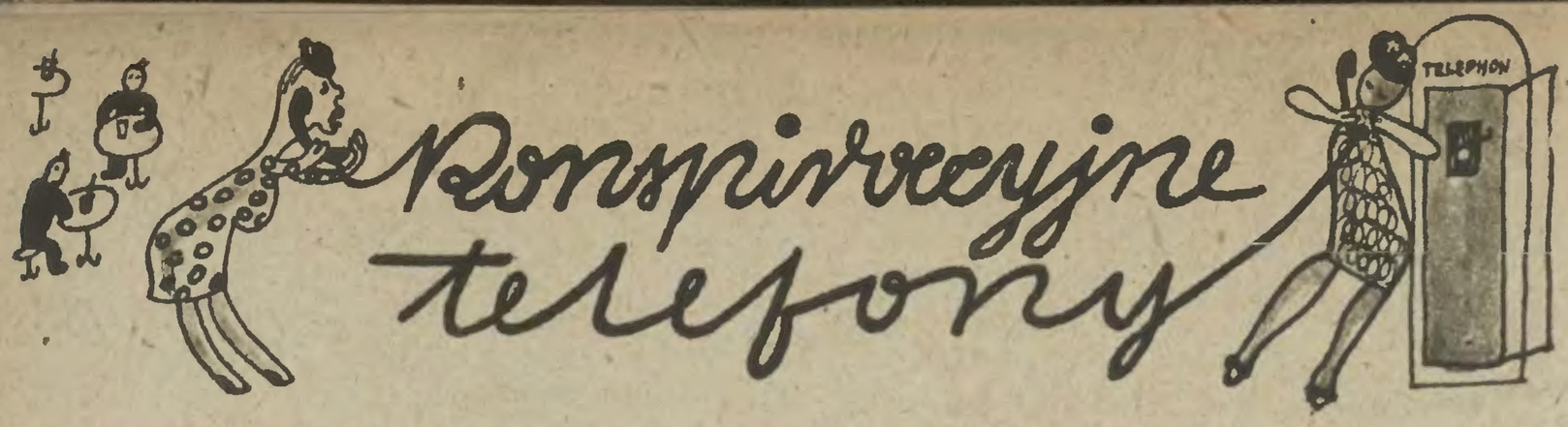


# Konspiracyjne telefony

Rozmowy konspiracyjne przez telefon w Warszawie były często podczas okupacji źródłem mimowolnego humoru.

Oczywiście wszelkie rozmowy niecenzuralne prowadziło się ze sklepu, aby potem z niewinną miną odłożyć słuchawkę, zapłacić 50 groszy i wyjść. W razie podsłuchu — szukaj wiatru w polu! Właściciele sklepów z telefonami połapali się jednak po kilku „wsypach". Niechętnie pozwalali korzystać z telefonu, a jeśli już pozwalali, to z wielkimi zastrzeżeniami co do tematu rozmowy. Oczywiście, Warszawiacy, wytrenowani w walce z drobnymi i większymi przeciwnościami, dawali sobie radę.

Wchodzi na przykład do apteki elegancka osóbka: loczki, woaleczka.

— Strasznie się spieszę. Czy można zatelefonować przed kolejką. Krawcowa mi ucieknie...

Nieufne spojrzenie aptekarza wypogadza się. Nie, to chyba nie będzie miało nic wspólnego z polityką.

— Bardzo proszę.

— Dziękuję. Hallo, czy to 214-26? Czy jest panna Helena? Dzieńdobry, panno Heleno. Ja w sprawie tej sukienki, co to ma być na jutro rano. Chciałabym, żeby jednak ją zrobić z drukowanego jedwabiu. Drukowany koniecznie! Ręcznie malowane wzory są niewyraźne. I rysuneczek na kołnierzyku! Tak, dziękuję pani. Materiału dostarczy pani Zofia. Dla mnie 500 takich sukienek. Tak, na razie mi wystarczy. Dowidzenia.

Szybki ukłon w stronę aptekarza i zanim ten przyszedł do siebie, elegancka pani już tkwi w tramwaju, do którego wskoczyła w biegu.

Zdarzały się anachronizmy. Często trudno było mianowicie zmieniać szyfr, bo strony umawiające się miały ze sobą tylko kontakt telefoniczny.

Nie były więc rzadkością rozmowy w tym rodzaju.

— Pan będzie łaskaw przysłać jak najprędzej te zabawki na choinkę. Dzieci dziś właśnie ubierają drzewko. Co? Ależ panie, czy pan nie rozumie, że muszą być dziś?

Rozmowa nie byłaby warta przytoczenia gdyby nie to, że rzecz działa się w czerwcu.

Orgie rozmów konspiracyjnych dochodziły jednak do zenitu, gdy odbywały się na mieście łapanki.

— Czy Tadzio już wyszedł? Nie? Chwała Bogu! Poproś go do telefonu. Tadziu? Nie wychodź z domu, u was na Żoliborzu okropna pogoda. Gdzie? Na Marszałkowskiej? Nie, na Marszałkowskiej na razie ładnie. Masz coś bardzo ważnego? To niech Krysia załatwi. Ona może śmiało. Kobiet nie łapią.

Albo taki telefon:

— Hallo! Zbyszek? Słuchaj, nie przychodź do mnie teraz. U nas deszcz leje. Po mieszkaniach też.

Gorzej, jeśli do kogoś zawitało gestapo i trzeba było zawiadomić innych, żeby tam nie przychodzili. Chwile były tragiczne, ale... oto jedno z autentycznych ostrzeżeń:

— Czy jest pan Stanisław? Dzień dobry panu. Mówię z polecenia Tomasza. Pan miał dzisiaj być u niego. Niech pan tam nie chodzi, bo on ciężko zachorował i są u niego lekarze na konsylium. Niestety mała nadzieja, żeby go się dało uratować. W razie, gdyby tym razem się udało, będzie u pana za godzinę.

Tak czy owak, Warszawiacy do tego stopnia przywykli do podwójnego znaczenia słów, wypowiadanych przez telefon, że nieraz wynikały nieporozumienia.

Oto, jakie skutki miał zupełnie niewinny telefon pewnej pani do znajomej.

— Miałam dziś przyjść do ciebie — telefonuje — ale niestety nie będę mogła. Mój mąż ma silną gorączkę, ja sama też nieszczególnie się czuję i obawiam się, że to może być zaraźliwe. Wobec tego, że masz dzieci, wolę cię nie narażać.

— Osoba, do której telefonowano, obleciała wszystkich bliższych i dalszych znajomych, ostrzegając, że mąż pani Iks jest aresztowany, a sama pani Iks jest śledzona. W ciągu kilku następnych dni pani Iks nie mogła zrozumieć, czemu nikt do niej nie przychodzi, a znajomi widząc ją na ulicy, przechodzą na drugą stronę.

Bo wszyscy się znali na szyfrach telefonicznych. Wszyscy. Prócz Niemców. Jasno wynika z tego wszystkiego, że w stacji podsłuchowej siedzieli sami idioci. I chwała Bogu!

**S. Grodzieńska**

## OD I DO REDAKCJI

**Jan L. w Częstochowie:** Jesteśmy całkowicie (w 100%) odmiennego zdania.

**J. R. Jask. w Wie:** List otrzymaliśmy. Prosimy o przysłanie jeszcze kilku utworów do wyboru.

**„ABC" w Łodzi:** Pańskie „odbrązawianie" Mickiewicza, krzywdzące, naiwne i błędne. Nie zamieścimy.

STUDIO
Fotografii
Grafiki
Dekoracji
SZWEDO-STRYCHALSKI
Kraków, św. Jana 3. II. P.
telef. 56198

Tygodnik „Przekrój" przyjmuje ogłoszenia według następującego cennika:

| | |
|---|---|
| po tekście na str. 14 lub 15 | zł 50,— |
| w tekście na str. 10 lub 11 | zł 75,— |
| w tekście na str. 12, 13 lub 16 (dwukolorowo) | zł 100,— |

Ceny rozumieją się za 1 cm².

Wydawnictwo nie przyjmuje żadnych zastrzeżeń ani co do terminu, ani co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia w ramach żądanej kategorii.

— Wczoraj czekałem na Pana Kierownika trzy godziny, a dziś znów dwie tutaj przesiedziałem...

— A co mam powiedzieć ja, który muszę tu siedzieć codziennie przez osiem godzin?...


REDAGUJE ZESPÓŁ * KRAKÓW, WIELOPOLE 1 - TEL. 545.60-62 REDAKTOR PRZYJMUJE OD GODZ. 11-12 DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE * WYDAWCA — SPÓŁDZIELNIA CZYTELNIK


© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

M—02529

Nie należę do ludzi, wylewających za kołnierz. Nie uważam, aby podział na rasy, jakiego przed wiekami dokonał podchmielony Noe, był zasługą zburzałego moszczu. Uważam, iż szkoda kołnierza kamizelki i płynu, który daje nam tyle uciech, natomiast nie uważam, aby znakomity żeglarz Noe był postacią tak nieszczęśliwą, jak nam stara się to wmówić zawstydzony moralista biblijny.

Skąd pochodzi alkohol?

Alkohol, według Leona Wachholza uzyskano w stanie czystym w wieku VIII po Chrystusie. Podobno już Arystoteles miał znać alkohol, uzyskany z destylacji wysoko procentowego wina. Koniak ten nazywał „vinum ustum".

Wcześniej od Arystotelesa poznali podobno alkohol kapłani egipscy. Prawdopodobnie owijali sobie głowy chustami, namoczonymi w spirytusie, który zapalali, gdy zachodziła potrzeba wystąpienia wobec tłumów w aureoli.

Zapewne i w czasach egipskich nie brakło kapłanów, używających spirytusu do celów domowo leczniczych. Także należy przypuścić, że koniak Arystotelesa nie był używany dla celów wyłącznie pojęciowych. Aleksander Wielki, uczeń Arystotelesa, i Aleksander Wielki, cierpiący z opilstwą na ostre, tropiczne zapalenie wątroby i z tego tytułu przenoszący się w krainę cieniów, to nie dwie różne postaci.

Skąd pochodzi nazwa alkohol?

Słowo alkohol pochodzi z arabskiego. Początkowo oznaczało ono antymon, bardzo ważny składnik w ówczesnej chemii. Później słowo to oznaczało każdy proszek. W wieku XVI nazwą „alcohol vini" oznaczano już tylko alkohol.

Tyle wiem o alkoholu i tyle każdy, szanujący się konsument monopolu wiedzieć powinien.

Szczególnie rozmiłowani w tym zawodzie mogą jeszcze wiedzieć, że wódz asyryjski Holofernes stracił swą głowę tylko na skutek przebrania

miary, gdy „stał się bardzo wesoły ku Judycie i pił bardzo wiele wina", że król babiloński Baltazar tylko po pijanemu zdobywa się na świętokradzkie użycie naczyń, które ojciec jego Nebukadnezar złupił w świątyni jerozolimskiej, że alkohol, wywołując zmiany rozkładowe w plazmie komórkowej i jądrze, rozpuszcza i wyciąga lipoidy, niszczy w tym samym stopniu tkankę nerwową, co ołów i rtęć.

Według książki prof. dr. A. Dryjskiego „Mózg i dusza" uczony Kraepelin i jego uczniowie stwierdzili, że alkohol nawet w małych dawkach osłabia pamięć i uwagę. Wpływ dużego kufla piwa na naszą jaźń da się stwierdzić jeszcze na drugi dzień wieczorem.

Małe piwo oczywiście wywiera skutek o wiele słabszy. Nad wpływami literatki piwa szkoła ta jeszcze się nie zastanawiała.

Szkoła Kraepelina w nie-

strudzonym zapale do ognistego płynu przeprowadziła raz badania alkoholo-metryczne, które trwały cały miesiąc. Wynik eksperymentów był niezmiernie pouczający. Obiekty badań traktowano dawkami od 40—100 gr, czystego alkoholu. Wydajność umysłowa zrazu wzrastała, lecz już po szóstym dniu „okresu alkoholowego" zaczęła spadać.

A więc, jak powiedziałem na początku, nie należę do ludzi, wylewających za kołnierz. Pragnę jednak czegoś.

Tak jest, pragnę! Pragnę przede wszystkim was ostrzec. To jest główną przyczyną powstania tego felietonu.

Pragnę was ostrzec przed szkodliwymi skutkami napojów rozweselających, ponieważ opilstwo jest jedną z naszych ułomności narodowych.

Przede mną leży książeczka. Nosi ona tytuł „Alkohol nieszczęściem człowieka i narodu". Ta książka jest akuszerką niniejszej pracy.

Napisała ją nauczycielka higieny w szkołach zawodowodokształcających. Mogę wam zaręczyć, że nie napisała jej autorka tego pokroju co pastor-abstynent z Dickensa, wygłaszający purytańskie kazania przeciw alkoholowi i będący równocześnie wstawiony w trąbkę.

Ze stylu widać, że autorka nie ceni stanu podchmielenia.

Przeczytajcie tę książeczkę. Zobaczycie jak wygląda wątroba abstynenta, a jak wątroba ochlapusa.

Pierwsza — jest śliczna, pełna, jędrna, gdy się ją dotknie palcem, odkształca się jak gumowy termofor, — druga jest pokurczona, zwiędła, przypomina truflę, zamoczoną w sosie koperkowym.

Nerka abstynenta jest krąglutka, pulchniutka, przepuszcza wszystko, co w swoim czasie ma być przepuszczone, nerka niewolnika zgubnych namiętności jest pomarszczona, zacina się, przypomina suszoną gruszkę, zamaczaną w tawocie.

Największa ilość zbrodni przypada na sobotę, niedzielę, poniedziałek; dni, w których spożywamy bardzo dużo destylatu Arystotelesa.

Nie wierzycie rycinom, słuchajcie, co mówi przez usta swych bohaterów stary poeta ze Stratfordu.

Słuchajcie, co mówi Kassjo z „Otella". Jak ryczy do was: „O, ty niewidzialna potęgo wina! Jeżeli jeszcze nie wynaleziono nazwy godnej ciebie, bądź nazwana szatanem!"

Słuchajcie, co mówi o pijanym Błazen z „Wieczoru trzech króli": ...„Pierwszy łyk ponad miarę czyni zeń błazna, drugi szaleńca, trzeci zaś go zatapia."

Przypomnijcie sobie, na jaki pomysł wpadły córki Lota po ewakuacji Sodomy i Gomory.

Mało wam jeszcze?

Mogę wam opowiedzieć wypadek, jaki się zdarzył, według pewnego uczonego, pijakowi, który się upił trzema kieliszkami wódki, zabił parę osób wałkiem od ciasta i na drugi dzień nawet nie wiedział, do kogo ten wałek należał.

Jesteście spragnieni wynurzeń starego kawalera, który

w czterdziestym piątym roku życia przerzucił się wyłącznie na mleko i soki owocowe? Ciekawi was degeneracja Tatarów, dokonana przez straszne skutki kumysu? Chcecie wiedzieć, kto to był Dżingis-Chan, jak oszałamiał się wódką z kobylego mleka i skąd się wzięła jego awanturniczość?

Mogę wam udowodnić, że wojenna degeneracja naszego społeczeństwa została wywołana nie czym innym, jak wódczaną okupacją hitlerowską.

Bardzo łatwo mogę także dowieść, że obecne stępienie wzruszeniowości pochodzenia ideowego i wspomnieniowego a zaostrzenie wzruszeniowości wrażeniowej, to wynik nie tyle zaniku linii etycznych, co nadużycia alkoholu.

Dlatego jeszcze raz ostrzegam: Nie należę do ludzi, wylewających za kołnierz, nie uważam, jakoby wynalazki, umilające człowiekowi życie, należały do wrogich jego życiu. Ale ostrożnie! Uważajcie, że nawet mała fifka piwa kryje w sobie jad, trujący i sprowadzający na was nieobliczalne szkody!

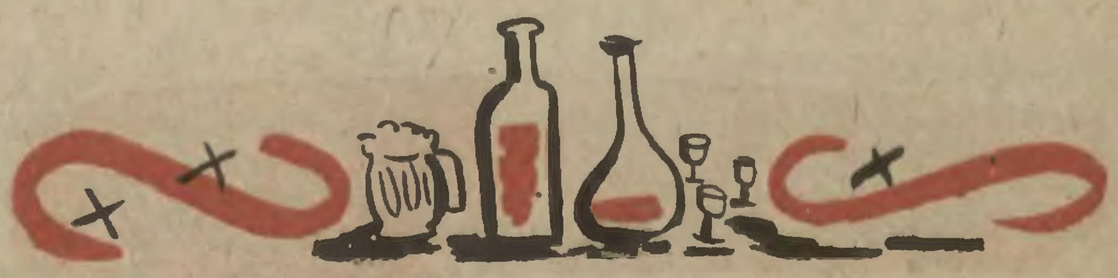

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl